

Demokracja kontra kapitalizm

10 czerwca 2007

Słowa „demokracja” i „gospodarka rynkowa”, a często „demokracja” i „kapitalizm” nieraz wymieniane są jednym tchem, kiedy media mówią o postępie różnych krajów. Słuchacz odnosi wrażenie, że jedno z drugim zawsze idzie w parze, że jedno drugiemu sprzyja. Komunały mają to do siebie, że w pierwszej chwili wydają się oczywistą prawdą. Później, kiedy zyskają sobie „stałe obywatelstwo”, trudno zauważyć moment, w którym zaczynają rozmijać się z rzeczywistością. Tymczasem, o ile kiedyś kapitalizm przyczynił się do rozwoju i rozkwitu demokracji, o tyle teraz ją podkopuje i zabija, sprowadza do fasady i absurdu.

Fakt, że rozszerzanie się demokratycznej formy rządów następowało w ślad za rozwojem kapitalistycznych stosunków gospodarczych, nie był przypadkiem. Pierwsi kapitaliści wywodzili się przeważnie z mieszczaństwa – stanu nieuprzywilejowanego w feudalnym ustroju wieków średnich. Władza skupiona wyłącznie w rękach szlachty poważnie utrudniała mieszczanom starania o najkorzystniejsze warunki działalności. Dopiero zrównanie stanów w ustroju demokratycznym umożliwiło bankierom i przedsiębiorcom wywieranie bezpośredniego wpływu na rządy. „Władza ludu” odpowiadała tym, którzy z ludu się wywodzili, a potrafili się z niego wyróżnić inicjatywą i praktycznymi umiejętnościami.

Kiedy jednak przywileje dawnej arystokracji trafiły do lamusa, a klasa ludzi przedsiębiorczych zgromadziła ogromne fortuny – i ogromne wpływy w demokratycznym systemie rządów – idea władzy dla wszystkich stała się dla tej klasy jedynie utrudnieniem. Klasa rządząca zaczęła więc znajdować sposoby na to, aby wybory tylko potwierdzały jej pozycję, a nie wstrząsały zaistniałym układem sił. W końcu dwudziestego wieku, wraz z ofensywą deregulacji pod hasłem prymatu gospodarki nad polityką i ideologią (słynne clintonowskie

hasło Gospodarka, głupcze!), system ten został doprowadzony do perfekcji, co dosadnie wyraził mer Londynu, Ken Livingstone: Gdyby wybory cokolwiek zmieniały, dawno już by ich zakazano.

Wymowną ilustracją są wybory w historii III RP. Każda kolejna ekipa wygrywająca wybory szybko traci popularność (w ostatnich latach coraz szybciej), po czym zostaje zmieciona ze sceny politycznej, a do władzy dochodzi partia głosząca przeciwne hasła. Realizowana przez nową władzę polityka zmienia się jednak tylko w drobnych szczegółach i ma niewiele wspólnego z owymi hasłami, które umożliwiły jej zwycięstwo.

FIKCJA DEMOKRACJI PRZEDSTAWICIELSKIEJ

Dlaczego wybierani przez ogół „przedstawiciele” rządzą nie w interesie ogółu, tylko w interesie oligarchii? Dlaczego, bez względu na to, czy wyborcy wybiorą prawicę, czy lewicę, Sejm stale przegłosowuje ustawy antypracownicze, obniża podatki i ogranicza świadczenia socjalne, idzie na rękę właścicielom kapitału, a życie ludzi pracy najemnej czyni coraz bardziej niepewnym? To nie wynika z jakiejś nadzwyczajnej złośliwości czy korupcji polskich polityków. Bardzo podobny proces ma miejsce w innych krajach, choćby w Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii, w Brazylii. Wszędzie tam partie socjaldemokratyczne odstąpiły od tradycyjnych dążeń lewicy i mają tylko (albo twierdzą, że mają) nadzieję, że poprawa warunków dla biznesu zaowocuje wzrostem zatrudnienia i podniesieniem ogólnego dobrobytu. Ogólnie mówiąc, głoszą hasła, które dwadzieścia – trzydzieści lat temu odważała się głosić tylko najskrajniejsza prawica liberalna w krajach demokratycznych.

Gołym okiem widać, że „wybrane” władze często nie reprezentują wyborców, to znaczy nie spełniają ich oczekiwań, nie wywiązują się z wyborczych obietnic, nie realizują własnych programów. Oddając głos do urny, na cztery lata wybieramy kogoś, kto rządzi w naszym imieniu. Przez cały ten czas, chroniony przez immunitet i nieodwołalność wyboru, nie musi się z nami liczyć,

ani rozliczać z tego, do czego się zobowiązał. Czy ten, kogo obdarzyliśmy tak wielką władzą i zaufaniem, rzeczywiście nas reprezentuje? A jeśli nie nas, to kogo?

Po pierwsze, wypada się zastanowić, w jaki sposób ludzie trafiają do najwyższych władz.

W dzisiejszej nibydemokracji rządzi... pieniądź. To, kto dostaje się do władz, zależy od tego, ile kto wyłoży na kampanię wyborczą – oraz jak zręcznie będzie ona zrobiona. A więc każda elita polityczna reprezentuje kogoś, kto ma duże pieniądze, którymi może swobodnie dysponować (inaczej nie stałaby się elitą). Poza tym, powodzenie – lub nie – działań politycznych zależy od postawy tych, którzy operują kapitałem. To kapitał jest ostateczną instancją władzy.

Poza pieniędzmi przeznaczanymi bezpośrednio na kampanię wyborczo-reklamową i lobbying, dużo inwestuje się w produkowanie przyzwolenia społecznego, mówiąc słowami Chomskyego i Hermana, czyli urabianie opinii publicznej na co dzień – temu służą „niezależna” (ale sponsorowana przez wielki biznes) prasa, radio i telewizja (także telewizja „publiczna” utrzymuje się w dużym stopniu z reklam!), a także „obiektywni” (ale ściśle współpracujący z biznesem) eksperci. William Greider w książce *Who Will Tell the People?* (Kto to powie narodowi?) opisuje, jak przebiega ten proces w Stanach Zjednoczonych:

W Waszyngtonie wyrosła poważna gałąź gospodarki, związana z tym, co można by nazwać „demokracją do wynajęcia” – firmy biznesowe i placówki sponsorowanych uczonych, których misją jest preparowanie faktów oraz opinii i ekspertyz, którymi następnie bombarduje się władze. Taka jest podstawowa funkcja wszystkich tych instytucji rozlokowanych wzdłuż głównych bulwarów Waszyngtonu takich jak K Street – agencji public relations, firm direct-mail oraz instytutów badania opinii publicznej. Działanie ich wszystkich zharmonizowane jest z infrastrukturą w postaci zespołów ekspertów (think tanks),

zwalnianych od opodatkowania fundacji oraz innych ośrodków, które taśmowo produkują stosy pomysłów poddawanych debacie politycznej. Większość jest finansowana przez korporacyjne grupy interesu i bogatych dobroczyńców. Praca lobbystów i prawników polega na docieraniu z tym materiałem do odpowiednich legislatorów i administratorów.

W tej wersji demokracji mogą swobodnie uczestniczyć jedynie ci, którzy zgromadzili mnóstwo pieniędzy. Tylko ci, którym wyniki politycznej gry przynoszą wyraźne, natychmiastowe korzyści finansowe, są w stanie zainwestować takie pieniądze w manipulowanie decyzjami rządzących. Większość Amerykanów nie ma ani osobistych umiejętności, ani środków, aby włączyć się do konkurencji na tym polu.

Sądzę, że politycy, którzy po dojściu do władzy rozminiają się z własnymi programami, niekoniecznie są winni „zdrady” w potocznym rozumieniu; na pewno nie wszyscy. Wielu z nich startuje w wyborach ze szczerą chęcią ukrócenia niesprawiedliwości, zmniejszenia rozwarstwienia społecznego, zadbania o potrzeby wszystkich obywateli, a nie tylko tych najbogatszych, najwyżej wykształconych czy najzaradniejszych. Jednak, kiedy wreszcie zdobywają upragnione miejsca w parlamencie czy w rządzie, przekonują się, że nawet tam są bezsilni.

Wyobrażam sobie, jakim szokiem musi być dla nich doświadczenie na własnej skórze, że są tylko figurantami. Że „władza nic nie może”. Są zakładnikami zastanego układu, częściowo personalno-korupcyjnego (głośne ostatnio powiązania między biznesem a ludźmi władzy), ale w jeszcze większym stopniu – ekonomicznego układu sił w kraju i w stosunkach międzynarodowych.

W gospodarce, której podstawowym dogmatem jest pełna swoboda decyzji inwestycyjnych poszczególnych przedsiębiorstw i swobodny (także międzynarodowy) przepływ kapitału; kiedy banki znajdują się w rękach prywatnych i kierują się logiką prywatnego zysku a nie dobra wspólnego – rządy państw, chcąc

nie chcąc, umizgują się do inwestorów. Skończyły się czasy, kiedy to przedsiębiorcy (zwł. zagraniczni) zabiegali o pozwolenie na działalność, i w związku z tym starali się zaoferować rządowi – a pośrednio: społeczeństwu – jak najlepsze „pakiety” działań korzystnych dla owego państwa i społeczeństwa. Teraz to poszczególne państwa prześcigają się wzajemnie w tworzeniu inwestorom jak najdogodniejszych warunków. Chcąc nie chcąc, robią to kosztem swoich obywateli – obniżają albo znoszą płace minimalne, osłabiają ustawodawstwo gwarantujące pracownikom trwałość zatrudnienia, obniżają obowiązkowe stawki za nadgodziny, tną świadczenia socjalne, jakie pracodawca jest obowiązany zapewnić, osłabiają przepisy ochrony środowiska i ochrony konsumenta... oraz obniżają podatki. Tym samym, dysponują coraz mniejszym budżetem, a więc ograniczają własne uprawnienia kontrolne, tną wszelkie państwowe świadczenia socjalne, obniżają wydatki na publiczną służbę zdrowia, wprowadzają płatną edukację. W efekcie: rosną zyski z (prywatnych) inwestycji (ograniczane co prawda przez malejącą siłę nabywczą ludności – ale od czego są kredyty? „Wydać dziś, haruj jutro albo zbankrutujesz pojutrze...”), rośnie PKB (hurra!), a tymczasem większość ludzi pracuje coraz ciężiej za coraz mniejsze pieniądze i jest coraz bardziej niepewna jutra. Człowiek, który ma tylko swoją zdolność do pracy, staje się częścią wymienną, którą po zużyciu można łatwo zastąpić, wyrzucić i zapomnieć.

Jeśli jakieś państwo próbuje chronić jakieś sektory własnej gospodarki, albo uważa za stosowne bardziej niż inne państwa troszczyć się o zdrowie swoich obywateli (bezpieczeństwo produktów, przepisy ochrony środowiska), naraża się nie tylko na ucieczkę inwestorów, ale także na szykany „społeczności międzynarodowej”. Orzeczenie trybunału Światowej Organizacji Handlu szybko przywoła zbyt samodzielny kraj do porządku. Uznanie, że wzniósł on „nieuprawnione bariery dla wolnego handlu” oznacza, że musi on zrezygnować z praw wprowadzonych w trosce o własnych obywateli albo ponieść drakońskie sankcje – wysokie „odszkodowanie” albo rodzaj międzynarodowego bojkotu

handlowego.

Ten porządek rzeczy ma w każdym społeczeństwie wielu przeciwników. Wiedzą o tym politycy zabiegający o głosy i wielu z nich formułuje program „populistyczny”. Co się kryje za tym hasłem-zaklęciem?

POPULIZM KONTRA TINA „REALISTKA”

Program wyborczy opisuje się jako „populistyczny”, kiedy jest on zgodny z oczekiwaniami społecznymi, ale znawcy uważają go za niemożliwy do zrealizowania... ponieważ kłóci się on z panującym układem, narusza interesy „grup trzymających władzę” (przy czym warto pamiętać, że najważniejsza część tych grup znajduje się poza granicami kraju takiego jak Polska, to znaczy stosunkowo słabego ekonomicznie, praktycznie bezbronnego wobec logiki międzynarodowego przepływu kapitału). Tragiczna prawda brzmi: oni mają rację. Programy populistyczne są bardzo trudne do zrealizowania. Ich realizacja oznaczałaby bowiem podważenie całego ładu międzynarodowego (dlatego tak zawzięcie atakowane są państwa, które tego próbują – na czele z Wenezuelą).

To nic, że ład ten nie znajduje akceptacji większości społeczeństw większości krajów, bogatych i biednych. Że raz po raz tu i tam wybuchają protesty, tonące w powodzi zmasowanej propagandy głoszącej hasło TINA (There Is No Alternative – „nie ma alternatywy!”) albo krwawo tłumione tam, gdzie ludzie są zdesperowani i propaganda nie wystarcza do obezwładnienia społecznego sprzeciwu. Liczy się to, że ten, kto chciałby się wyłamać z tego ogólnoswiatowego consensusu (zwanego „consensusem waszyngtońskim”), straciłby najwięcej.

W ślad za wstrząsem gospodarczym przyszłaby najprawdopodobniej destabilizacja społeczna, a potem może jeszcze „pokojowa” interwencja USA i ich sojuszników (kto nie wierzy, niech prześledzi historię XX wieku w Ameryce Łacińskiej; może też zainteresować się mało nagłościonymi posunięciami Saddama

Husajna zmierzającymi do przerwania monopolu dolara w rozliczeniach międzynarodowych. Dziwnie się złożyło, że właśnie zaraz potem Husajn został okrzyknięty wrogiem nr 1 demokracji na świecie, choć zbudowanie przez Irak broni jądrowej było w owym czasie o wiele mniej realne niż dziesięć lat wcześniej, a prawa człowieka łamał Saddam notorycznie od trzydziestu lat). Najważniejsze jednak, że nad stabilizacją tego międzynarodowego ładu czuwa organizacja, która sama w sobie nie jest demokratyczna i przed nikim nie odpowiada.

RZĄD NIEWIDZIALNY I NIEWYBIERALNY

Światowa Organizacja Handlu (WTO), powołana w r. 1995 na mocy porozumienia 125 (dziś 144) państw, wcześniej sygnatariuszy Układu Ogólnego w sprawie Ceł i Handlu (GATT), skupia w swym ręku władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, nadrzędną w stosunku do władz poszczególnych państw-członków. De facto więc, w sprawach którymi się zajmuje (początkowo handel międzynarodowy, a obecnie coraz szersze sfery gospodarki wszystkich krajów – ostatnio rozszerzane na usługi, w tym także finansowe oraz rolnictwo) pełni rolę światowego rządu, jak zwrócili uwagę Debi Barker i Jerry Mander z Międzynarodowego Forum ds. Globalizacji (Invisible Government, wyd. pol. pt. ABC globalizacji, Obywatel, Łódź 2003). Czy można jeszcze mówić, że żyjemy w demokracji, skoro ów światowy rząd nie jest organem ani jawnym, ani pochodzącym z jakiegokolwiek demokratycznego wyboru?

Przedstawiciele poszczególnych krajów są delegowani przez ich rządy bez żadnej konsultacji ze społeczeństwem. Ich polityka na forum WTO z reguły nie jest poddawana pod publiczną dyskusję. W przeciwieństwie do np. Parlamentu Europejskiego, władze WTO nie pochodzą z powszechnego wyboru w zainteresowanych krajach. Decyzje WTO nie muszą mieć – i często nie mają – poparcia społeczeństw krajów członkowskich. Także samo przystąpienie poszczególnych krajów do GATT i WTO odbywało się często (jak w USA czy Hiszpanii) cichaczem, bez poważnej dyskusji parlamentarnej, nie mówiąc o referendum czy

innej formie wypowiedzi ogółu społeczeństwa. Zrzekłszy się znacznej części swoich uprawnień, władze państw narodowych mogą szczerze mówić, że pewnych rzeczy nie mogą zmienić, nie mają pola manewru.

Aby obywatele nie zorientowali się, kto naprawdę rządzi i nie zakwestionowali tego stanu rzeczy, propaganda w dalszym ciągu przywiązuje dużą rolę do wyborczych rytuałów. Przybywa jednak ludzi, którzy, nauczani doświadczeniem, już nie wierzą, że władza faktycznie pochodzi z ich nadania. Mówi o tym jednoznacznie frekwencja wyborcza, która zarówno w Polsce jak i w innych państwach „demokratycznych” systematycznie topnieje. Godnym uwagi wyjątkiem było referendum dotyczące proponowanej konstytucji Unii Europejskiej. Głosując w konkretnej sprawie, ludzie raz jeszcze mieli przekonanie, że coś faktycznie zależy od ich woli.

Drugim zabiegiem mającym na celu ukrycie przed obywatelami zrzeczenia się przez rządy faktycznych uprawnień (i odpowiedzialności za naród) jest propagowanie ideologii „jak najmniej rządu, jak najwięcej rynku”. Propagatorzy wiary w nieomyłność rynku nierzadko twierdzą wręcz, że siły rynku działają bardziej demokratycznie niż państwowa „biurokracja” (tzw. „populizm rynkowy”).

CZY RYNEK UZDROWI PAŃSTWO?

Słyszysz się jak mantrę: „administracja państwowa jest nieefektywna; rynki są efektywne”. Państwo rezygnujące z interwencji w gospodarkę i zdające się na siły rynku ma być bardziej efektywne. Jednak słowo „efektywność” odnosi się zawsze do czegoś. Co chcemy zoptymalizować, uczynić efektywnym, a co optymalizuje rynek? Rynek optymalizuje produktywność kapitału, a ściślej: pomnażanie pieniędzy. Stosując do państwa metaforę przedsiębiorstwa, które powinno być zarządzane efektywnie, łatwo zapomnieć o kilku różnicach.

Przede wszystkim, państwo ma inne cele niż przedsiębiorstwo.

Na przykład, jest związane z określonym terytorium, a więc żywotnie zainteresowane tym, aby owo terytorium w przyszłości wciąż nadawało się do życia. Gdy o tym, co ma być zrobione, a co zaniechane decyduje rynek – gospodarka zaczyna działać jak sprawna maszyna do... pomnażania pieniędzy, bez względu na koszty społeczne (zdrowotne, kulturowe, w tym rodzinne) i ekologiczne. Globalna gospodarka kapitalistyczna – jak dowodzi David Korten, ekonomista i autor Świata po kapitalizmie – przetwarza życie na pieniądze, kapitał żywy w kapitał symboliczny i systematycznie przeobraża energię i surowce materialne danego środowiska w bezużyteczny i toksyczny śmietnik, po czym... przenosi się w inne miejsce, gdzie jeszcze jest co kupić, przetworzyć i spieniężyć.

Dobrobyt obywateli ma wiele wymiarów (w tym, oprócz strony materialnej, również: zdrowie, bezpieczeństwo, więzi społeczne, kultura, wykształcenie, perspektywy życiowe), tymczasem stan firmy mierzy się głównie jej wynikami finansowymi i tym, co może na nie wpływać w najbliższej przyszłości; przedsiębiorstwa z łatwością przerzucają część kosztów na zewnątrz; państwa raczej nie powinny tego robić (z wyjątkiem tych, które przygotowują się do wojny).

Firma może zbankrutować i przestać istnieć. Masę upadłościową można rozdać wierzycielom, którzy zrobią z nią, co im się spodoba. Dawni właściciele zostaną po prostu bez majątku (a raczej bez tej jego części). A jeśli zbankrutuje państwo – co zrobić z (byłymi?) obywatelami?

Poza tym, państwo demokratyczne jest z założenia wspólnotą równych obywateli, a nie spółką z nierównymi udziałami. Ma się liczyć z interesami wszystkich, a nie tylko udziałowców większościowych. Udziałowcom spółki wypłaca się dywidendy proporcjonalne do ich wkładu. Odpowiedzialność za obywateli natomiast oznacza zapewnianie pewnego minimum zaspokojenia potrzeb (nie tylko materialnych), a przynajmniej podstawowych praw każdemu z nich; przedsiębiorstwo może wyrzucić część pracowników albo wykupić część udziałowców; państwo

demokratyczne nie może się pozbyć „nieopłacalnych” obywateli.

Państwo w wyobrażeniu neoliberalistów ma być partnerem biznesu. Jak zauważa Joel Bakan, prawnik i autor książki *The Corporation* (wyd. pol. pt. *Korporacja. Patologiczna pogoń za zyskiem i władzą*, Lepszy Świat, Warszawa 2006), partnerstwo oznacza równorzędność. A więc interesy państwa nie mają być nadrzędne w stosunku do interesów poszczególnych (wielkich) firm. Warto się zastanowić nad konsekwencjami faktu, że tylko jeden z tych „partnerów” poczuwa się do odpowiedzialności przed nami wszystkimi. Państwo demokratyczne jest... demokratyczne, przynajmniej potencjalnie. Jego przywódcy są, choćby w ograniczonym stopniu, odpowiedzialni przed tymi, którym przewodzą. Przywódcy korporacji – tylko przed radą nadzorczą.

Bakan cytuje m.in. Noama Chomskyego. Ów guru nowoczesnych anarchistów mówi tym razem: Cokolwiek myśleć o władzach państwowych, w jakimś stopniu są one odpowiedzialne przed społeczeństwem; fakt, że w stopniu ograniczonym. Korporacje – w stopniu zerowym.

„DEMOKRACJA” RYNKOWA – BĄDŹ SOBĄ, WYBIERZ PEPSI

Władze wybieralne są w odwrocie (same zrzekają się wpływu, żeby przyciągnąć i zatrzymać międzynarodowy kapitał – „korzystny klimat dla inwestycji”; kapitał wyzwolony od lojalności narodowej – czy jakiegokolwiek innej); o wszystkim ma „lepiej” decydować rynek. Nasz wpływ na sytuację ekonomiczną ma się opierać na naszej „władzy konsumenckiej”. Jedna z pierwszych reklam w Polsce kapitalistycznej głosiła: Poznaj siłę swoich pieniędzy.

Tymczasem rynek, nawet jeśli opiera się na decyzjach konsumentów – czyli nas wszystkich (a nie na koncesjach ze strony władz, nadawanych najsilniejszym firmom, które skutecznie stosują lobbing) – to są to decyzje fragmentaryczne, najczęściej nie oparte na całościowej

refleksji nad tym, na jaki model społeczno-instytucjonalny chcemy głosować i oparte na (bardzo) niepełnej wiedzy, w dużym stopniu kształtowanej przez reklamę (zamiast rzetelnej informacji i edukacji); nikt nawet nie sprawdza, czy dopuszczana reklama jest rzetelna, czy zawiera wszystkie istotne informacje, czy nie jest wręcz kłamliwa.

Akt kupowania jest głosem oddanym na konkretny model gospodarczy i społeczny, na określony sposób wytwarzania dóbr – powiedział kiedyś Anwar Fazal, były prezes Międzynarodowej Organizacji Związków Konsumentckich. Niby prawda: o kształcie świata decyduje dziś to, do kogo trafiają duże pieniądze i jaki z nich robi użytek. A do kogo one trafiają, zależy po części od każdego z nas, konsumentów.

Jak wielu z nas świadomie przystępuje do tego „głosowania”? Z myślą nie tylko o tym, co za chwilę znajdzie się w jego szafie, lodówce czy garażu, ale i – co się stanie ze społeczeństwem i środowiskiem w konsekwencji tego prostego aktu oraz miliona podobnych? Na ile jesteśmy świadomi tych konsekwencji? Na ile w ogóle jesteśmy w stanie poznać owe łańcuchy zależności w gospodarce globalnej?

Ponadto nasze siły oddziaływania przez rynek są drastycznie nierówne. Píše o tym Bakan: Jednym z założeń demokracji jest to, że, jako obywatele, wszyscy ludzie są równi [...] [w systemie poddanym deregulacji, rządzonej przez rynek] to jeden dolar – a nie jedna osoba – stanowi jeden głos. [...] w rynkach konsumentckich [...] jedni mają wiele „głosów” podczas gdy inni mają ich bardzo mało – trudno powiedzieć, że tak wygląda przepis na cokolwiek godnego miana demokracji.

Erozję demokracji przejrzyście i z pasją opisuje David Korten: Przyznaliśmy prawo człowiekowi, a nie własności, uznając to za warunek demokracji. Tymczasem w różnych sferach życia politycznego i gospodarczego prawa własności gwałtownie rosną kosztem praw człowieka. Jeśli wykupisz przestrzeń publiczną, ja stracę do niej dostęp (albo będzie on uzależniony od

twojego widzimisie). Jeśli sprywatyzujemy zasoby, od których zależy życie nas wszystkich, staniemy się zakładnikami tego, kto je wykupił. Zasoby naturalne nieubłagane się kurczą. Ludzi przybywa, a zwłaszcza przybywa ludzi bez kapitału – bez ziemi, bez majątku materialnego, bez pracy. Prawo do życia staje się puste, kiedy warunki umożliwiające życie przestają być gwarantowane – wiążą się z prawami własności, coraz bardziej koncentrującymi się w rękach nielicznych.

CZY KAPITALIZM JEST DEMOKRATYCZNY?

Kiedy runął mur berliński, a pieriestrojka zakończyła żywot Związku Radzieckiego, ideolodzy Zachodu ogłosili „koniec historii” i triumf rynku nad gospodarką centralnie planowaną. Tymczasem największym beneficjentem postępującej globalizacji i zwycięskiego pochodu wolnego handlu są gigantyczne organizmy gospodarcze, które dyktują reguły gry na „wolnym” rynku, a ich planowanie i zarządzanie jest jak najbardziej scentralizowane.

Mówi o tym Korten: Dyrektor wykonawczy korporacji może zatrudnić lub zwolnić każdego pracownika, otworzyć lub zamknąć dowolną fabrykę, zmienić ceny transferów, z dnia na dzień tworzyć i niszczyć linie produkcyjne – a wszystko to bez pytania o zdanie osób bądź społeczności, których to dotyczy. Taka koncentracja władzy w jednych rękach byłaby prawdopodobnie źródłem zazdrości specjalistów od centralnego planowania w Związku Radzieckim.

Triumf globalnego kapitalizmu oznacza, że ponad połowa ze stu najlepiej rozwiniętych gospodarek świata jest centralnie zarządzana [chodzi o korporacje ponadnarodowe, przewyższające swymi obrotami PKB większości państw], zaś celem planowania jest zysk, jaki trafia do kieszeni jednego procenta najbogatszych ludzi świata! Jest to triumf sprywatyzowanego centralnego planowania nad rynkiem i demokracją.”

Co gorsza, decyzje podejmowane przez „centralnych planistów” korporacji, w tym banków, mają dziś przemożny wpływ na życie

wielu, którzy nie mają w tym procesie decyzyjnym nic do powiedzenia, od pracowników po społeczności lokalne oraz przyszłe pokolenia mieszkańców planety.

Przy obecnym stanie prawnym korporacja nie odpowiada przed żadnym z tych interesariuszy. Władza bez odpowiedzialności.

Przed kim odpowiada zarząd firmy? Przed właścicielami. A przed kim powinien, jeśli uznamy, że prawa człowieka i obywatela istnieją? Przed wszystkimi tymi, na których życie wpływa. Jest tu sprzeczność, której nie sposób rozwiązać inaczej jak poprzez zmianę definicji odpowiedzialności zarządców i właścicieli przedsiębiorstw.

Dotychczasowe pojmowanie własności i wolności ekonomicznej okazuje się w samej swej istocie sprzeczne z podstawowymi prawami człowieka. Korzystanie z nieograniczonej wolności ogranicza wolność innych i możliwości korzystania przez nich z owych praw. W okresie burzliwego rozwoju kapitalizmu zapominano, że wolność musi iść w parze z odpowiedzialnością. Często i chętnie cytując Adama Smitha zapominano o moralnych założeniach jego hipotezy „niewidzialnej ręki”. Zakładał on mianowicie, że odpowiedzialna jednostka ma obowiązek unikać szkodenia innym, a państwo powinno powstrzymywać tych, którzy działają na niekorzyść drugiego człowieka. Współczesna korporacja natomiast, jak wskazuje Bakan, z mocy prawa... ma wręcz obowiązek szkodzić osobom postronnym – wszędzie tam, gdzie się to opłaca z racji nie dość silnych sankcji lub z powodu trudności udowodnienia szkodliwych efektów danego działania i jednoznacznego wskazania sprawców (do tej kategorii, niestety, należy większość oddziaływań na środowisko i ludność). I korporacje to robią. W imię zysków inwestorów korporacje są zmuszone oszukiwać, manipulować, truć i zastraszać. Jeśli uda się udowodnić im winę, płacą kary ale nie przestają istnieć i postępować w ten sam sposób. Ludzie podejmujący decyzje z reguły nie zostają pociągnięci do odpowiedzialności, ponieważ odpowiedzialność się rozmywa gdzieś pomiędzy kolejnymi szczeblami zarządzania. Tego

wszystkiego nie było w czasach Adama Smitha. Należał on jednak do przeciwników korporacji, już wtedy przewidując katastrofalne konsekwencje koncepcji ograniczonej odpowiedzialności.

Odpowiedzialność zarządu korporacji jedynie przed właścicielami kapitału jest anachronizmem – nie uwzględnia skali i powagi jej oddziaływań. Szukając nowej formy przedsiębiorczości, wywiązującej się z lepiej zdefiniowanej odpowiedzialności społecznej, Korten oczekuje nadejścia firm „będących własnością pracowniczą, zakorzenionych w lokalnym środowisku” – czyli własności interesariuszy. Jedno jest pewne: istnienie korporacji w dotychczasowej formie – podmiotów o ogromnej władzy i nikłej odpowiedzialności względem społeczeństwa – stale pogłębia napięcia społeczne i presję na ekosystem. Prędzej czy później dojdzie do eksplozji społecznej lub globalnej serii katastrof ekologicznych. Jeśli najważniejszym priorytetem polityki jest zdrowa gospodarka, to demokracja polityczna nie może istnieć bez demokracji gospodarczej – wpływu obywateli na warunki funkcjonowania rynku i poszczególnych przedsiębiorstw.

GOSPODARCZA DEMOKRACJA UCZESTNICZĄCA

Na świecie powstają grupy obywatelskie myślące o odzyskaniu demokracji. Jednym z pierwszych kroków są partycypacyjne budżety miast. Po dojściu brazylijskiej Partii Pracowniczej do władzy w stanie Rio Grande do Sul, w ponadmilionowym mieście Porto Alegre o budżecie miejskim zaczęły decydować powszechne zgromadzenia mieszkańców. Wybierani urzędnicy mają obowiązek realizować tylko decyzje zgromadzenia i mogą być odwołani w każdej chwili, jeśli większość mieszkańców dojdzie do wniosku, że nie wywiązują się z tego zadania; w ten sposób czują oni, że ktoś im patrzy na ręce na co dzień, a nie tylko w okresie kampanii wyborczej. Wbrew krakaniom pesymistów okazało się, że „motłoch” potrafi lepiej od ekspertów ocenić swe potrzeby i sposoby ich realizacji. W ślad za Porto Alegre budżety partycypacyjne w różnych odmianach zaczęły przyjmować inne

miasta i gminy, także w Unii Europejskiej (m.in. Manchester i Sevilla, a także jedna z dzielnic Berlina).

Sfera budżetowa to nie wszystko. Kolejny krok demokracji gospodarczej to uzależnienie warunków działalności przedsiębiorstw od woli społeczeństw lokalnych oraz podporządkowanie polityki kredytowej społecznościom – i władzom krajowym – a nie logice zysku prywatnych banków. Dopiero wtedy inwestycje zaczną faktycznie wynikać z preferencji ogółu społeczeństwa, a nie z rachuby przedsiębiorców: na czym najwięcej zarobić?

Im więcej kapitalizmu, tym mniej demokracji. Jeśli obywatele mają odzyskać realną władzę, odzyskać prawo decydowania o tym, dokąd zmierza świat, muszą skończyć z plutokracją – władzą pieniądza. Istnieją bowiem bogactwa naturalne i pewne dobra społeczne, wartości wspólnotowe, które są dziedzictwem wszystkich (i zależy od nich los wszystkich). Tych dóbr nie mamy prawa sprzedać, ani nikt nie ma prawa ich wykupić, choćby za największe pieniądze. Mądrość dawnych Indian głosiła: ziemi (ani powietrza) nie można sprzedać ani kupić. Ziemia nie należy do nikogo w szczególności. Jest bowiem samą podstawą życia wszystkich. Nikt nie ma prawa odkupić powietrza, którym oddychasz, ani ziemi, po której chodzisz. To samo dotyczy wszystkiego, co się składa na ekosystem. Dotyczy też kapitału społecznego – tego wszystkiego, co stanowi o różnicy między działalnością gospodarczą a przestępczą, między budową dobrobytu poprzez współdziałanie a wyniszczającą wojną wszystkich ze wszystkimi.

Logika pieniądza jest ślepa. Nie zna moralności, nie zauważa momentu, w którym pieniądz zaczyna zabijać. To nie pieniądz powinien decydować o tym, w co inwestujemy albo jaką opcję polityczną wybieramy. Powinien decydować consensus ludności – uwzględniający wolę większości, ale nie ignorujący także potrzeb, aspiracji i obaw mniejszości.

ŚWIAT DLA LUDZI, NIE DLA ZYSKU

Odkąd państwa narodowe zrzekły się większości swych uprawnień (i odpowiedzialności) na rzecz „rynku” (którego nie da się pociągnąć do odpowiedzialności!), czy też raczej gęsto splecionej sieci globalnych instytucji nastawionych na zysk oraz wspierających i chroniących działalność nastawioną na zysk, demokracja stała się fasadą.

Drogi demokracji i kapitalizmu rozchodzą się. Niebawem albo fasada runie i pozostanie dyktatura kapitału wspierana terrorem państwowego aparatu przymusu, albo społeczeństwo zburzy porządek, w którym nieograniczona wolność kapitału ogranicza podstawowe wolności ludzi.

Wybory są powtarzaniem co cztery lata formalnym aktem zrzeczenia się władzy przez obywateli (z definicji demokracji bowiem władza należy pierwotnie do każdego z nich). W rzeczywistości od dawna tej władzy nie mieli okazji sprawować, gdyż znajduje się ona nieprzerwanie w rękach (a raczej na kontach bankowych) tych samych sfer. Strażnicy tak funkcjonującej „demokracji” wciąż jednak starają się podtrzymać pozory, że podmiotem władzy jest ogół społeczeństwa i zdają się wierzyć, że ów ogół w to wierzy. Jednak, jak powiedział W. Churchill, Można oszukiwać część ludzi przez cały czas oraz wszystkich ludzi przez pewien czas, nie można jednak oszukiwać wszystkich bez końca. Spadająca na łeb, na szyję frekwencja wyborcza dowodzi, że naiwnych jest coraz mniej. Czy przebudzeni z tego snu obywatele uznają, że odpowiada im rola populacji pozbawionej reprezentacji i wpływu na stan rzeczy, czy też na serio sięgną po władzę, która rzekomo od niepamiętnych czasów należy do nich i już jej nie oddadzą żadnym pośrednikom, żadnym „przedstawicielom”, ani żadnym „niewidzialnym rękami”?

Autor: Jerzy Paweł Listwan

Źródło: [“Zielone Brygady – Pismo Ekologów” nr 4 \(225\) 2007](#)